

## PRZEDMOWA DO WYDANIA JEDNOTOMOWEGO

Książka niniejsza ukazuje się wreszcie w formie, jaką planowałem, przystępując blisko dwadzieścia lat temu do pracy nad nią. Kiedy po około dziesięciu latach pierwszy szkic całości był niemal gotowy, nadwątlenie sił fizycznych, które na szczęście okazało się przejściowe, kazało mi zwątpić, czy zdołam dokończyć pracę, i skłoniło mnie do opublikowania w 1973 roku pierwszego z trzech odrębnych tomów. Kiedy rok później powróciłem do zdrowia, przekonałem się, że różne okoliczności sprawiają, iż konieczne jest wprowadzenie poważnych zmian nawet w tych dalszych częściach książki, które wydawały mi się właściwie ukończone. Jak wyjaśniałem w przedmowie do wydanego w 1976 roku tomu drugiego, było to spowodowane głównie tym, że nie byłem zadowolony z kluczowego rozdziału, który dał drugiemu tomowi jego tytuł: *Miraż sprawiedliwości społecznej*. Najlepiej będzie, jeśli powtórzę tutaj tamto wyjaśnienie:

Poświęciłem temu zagadnieniu obszerny rozdział, w którym starałem się pokazać na dużej liczbie przypadków, że to, co przedstawia się jako żądania „sprawiedliwości społecznej”, nie może być sprawiedliwością, ponieważ jej fundamentalna tendencja (trudno nawet mówić tu o zasadzie) uniemożliwia jej ogólne zastosowanie. Starałem się wówczas przede wszystkim wykazać, że ludzie nigdy nie zdołają się porozumieć co do tego, czego wymaga „sprawiedliwość społeczna”, a każda próba ustalenia wynagrodzeń stosownie do tego, co uważa się za wymaganie sprawiedliwości, uniemożliwi funkcjonowanie

rynku. Obecnie jednak jestem przekonany, że ludzie nawykowo posługujący się tym wyrażeniem po prostu sami nie wiedzą, co przez nie rozumieją, i używają go jedynie w charakterze stwierdzenia, iż jakieś roszczenie jest uzasadnione, bez przedstawiania żadnej po temu racji.

Podczas wcześniejszych prób krytyki tego pojęcia miałem stale poczucie, że uderzam w próżnię, aż wreszcie spróbowałem – od czego w takich przypadkach powinno się zaczynać – zbudować najlepszą, na jaką było mnie stać, argumentację na korzyść ideału „sprawiedliwości społecznej”. Dopiero wtedy spostrzegłem, że król jest nagi, czyli że termin „sprawiedliwość społeczna” jest całkowicie pusty i pozbawiony znaczenia. Podobnie jak chłopiec w bajce Hansa Christiana Anderse na nie mogłem nic zobaczyć, bo niczego nie było. Im bardziej starałem się nadać temu terminowi określone znaczenie, tym bardziej się ono rozpadało – okazywało się, że intuicyjne poczucie oburzenia, którego niewątpliwie często doświadczamy w konkretnych sytuacjach, nie pozwala się uzasadnić żadną ogólną regułą, jak wymaga tego koncepcja sprawiedliwości. Jednak wykazanie, że powszechnie używane wyrażenie, w którym wielu ludzi pokłada *quasi*-religijną wiarę, jest pozbawione jakiegokolwiek treści i ma jedynie dawać do zrozumienia, iż powinniśmy się zgodzić na żądanie jakiejś konkretnej grupy, jest bez porównania trudniejsze od udowodnienia błędności jakiejś koncepcji.

W takiej sytuacji nie mogłem się zadowolić dowodzeniem, że konkretne próby osiągnięcia „sprawiedliwości społecznej” okażą się nieskuteczne, lecz musiałem wyjaśnić, że wyrażenie to w ogóle nic nie znaczy, a używa się go bądź to bezmyślnie, bądź oszukańczo. Konieczność argumentowania przeciw przesądowi, którego z wielką siłą trzymają się osoby uważane często za najlepsze w swoich społeczeństwach, oraz przeciw przekonaniu, które stało się niemal nową religią naszych czasów (a wielu duchownych starej religii znalazło w nim swoją ucieczkę) oraz uznanym wyróżnikiem dobrego człowieka,

nie jest wcale przyjemna. Obecne rozpowszechnienie się tego przekonania w nie większym jednak stopniu dowodzi realności jego przedmiotu niż dawna powszechna wiara w wiedźmy i kamień filozoficzny. Podobnie też długa historia pojęcia sprawiedliwości rozdzielczej rozumianej jako właściwość postępowania jednostki (pojęcia często traktowanego dziś jako synonim „sprawiedliwości społecznej”) nie dowodzi, że ma ono jakiegokolwiek odniesienie do materialnego położenia jednostek wyłaniającego się z procesu rynkowego. Uważam nawet, że mógłbym wyświadczyć bliźnim największą przysługę, gdyby było jeszcze w mojej mocy sprawić, aby czuli się zawstydzeni, ilekroć wypowiedzą to próżne zakłęcie. Poczytuję sobie za obowiązek, by przynajmniej podjąć próbę uwolnienia ich od tego demona, który ze szlachetnych uczuć czyni dziś narzędzia destrukcji wszystkich wartości wolnej cywilizacji – i to próbować z ryzykiem, że ciężko obrażę wielu spośród tych, których siła odczuć moralnych budzi mój szacunek.

W konsekwencji tego biegu zdarzeń obecna wersja kluczowego rozdziału tego tomu ma pod pewnymi względami charakter nieco odmienny od reszty, którą w zasadniczych punktach ukończyłem sześć czy siedem lat wcześniej. Nie miałem tu, z jednej strony, nic do pozytywnego wykazania, gdyż moim zadaniem było jednoznaczne przerzucenie ciężaru dowodzenia na posługujących się terminem „sprawiedliwość społeczna”. Z drugiej zaś – pisząc na nowo ten rozdział, nie miałem już dostępu do odpowiednich zasobów bibliotecznych tak łatwego jak wtedy, gdy przygotowywałem pierwszą wersję tomu. W konsekwencji nie mogłem w tym rozdziale systematycznie uwzględnić nowszej literatury poświęconej omawianym tematom, tak jak to starałem się zrobić w pozostałych. W jednym przypadku to poczucie, że powinienem uzasadnić swoje stanowisko w świetle ważnej nowej pracy, przyczyniło się również do tego, że ukończyłem niniejszy tom z opóźnieniem. Doszedłem jednak po gruntownym namyśle do wniosku, że to, co musiałbym powiedzieć w sprawie *Teorii sprawiedliwości*

Johna Rawlsa, nie byłoby pomocne z uwagi na bezpośredni przedmiot mojego zainteresowania, ponieważ różnice między nami zdały mi się raczej werbalne niż rzeczowe. Choć pierwsze wrażenie czytelników może być inne, wydaje mi się, że przywoływana przeze mnie w tym tomie (s. 341) wypowiedź Rawlsa świadczy, iż zgadzamy się co do sprawy dla mnie zasadniczej. W istocie nawet sądzę, jak wskazałem w przypisie do tego cytatu, że poglądy Rawlsa na tę istotną kwestię są powszechnie nierozumiane.

Przedmowa do tomu trzeciego, który ukazał się ostatecznie w 1979 roku, również zawiera opis dalszego biegu spraw, który lepiej będzie tu powtórzyć:

Pominąwszy obecne dwa ostatnie rozdziały, większość tomu przybrała prawie gotową postać już pod koniec 1969 roku, kiedy nie najlepszy stan zdrowia zmusił mnie do zawieszenia pracy nad jej ukończeniem. To zresztą właśnie wtedy wątpliwości, czy uda mi się tego kiedykolwiek dokonać, sprawiły, że postanowiłem wydać jako osobny tom pierwszą z trzech części planowanego jednego wolumenu, która była już wówczas całkiem gotowa. Kiedy zdołałem powrócić do systematycznej pracy, odkryłem – jak wyjaśniałem to w przedmowie do tomu drugiego – że przynajmniej jeden rozdział pierwotnego szkicu tej drugiej części wymaga napisania od nowa.

Gdy przerywałem pracę, w całym wstępnym szkicu części trzeciej nieukończony pozostawał tylko planowany rozdział ostatni – 18. Mam wprawdzie nadzieję, że w większym lub mniejszym stopniu doprowadziłem do końca swój pierwotny zamysł, jednak w tym długim minionym okresie moje idee wciąż się rozwijały, toteż niechętnie oddawałbym do druku coś, co nieuchronnie musi być moją ostatnią systematyczną pracą, nie wskazując przynajmniej, w jakim kierunku zmierzają moje myśli. Skutek był taki, że nie tylko pierwotny rozdział zamykający zawiera niemało, jak mam nadzieję, poprawionych

przeformułowań wcześniejszych argumentów, ale także uznałem za konieczne opatrzyć książkę „Epilogiem”, w którym dobitniej przedstawiam ogólny obraz ewolucji moralnej i politycznej, jaka kierowała mną w całym tym przedsięwzięciu. Dołączyłem również jako rozdział 16 krótką rekapitulację wcześniejszej argumentacji.

Zakończenie pracy odwlekało się również z innych powodów. Podobnie jak kiedyś wahałem się, czy powinienem opublikować tom drugi bez pełnego uwzględnienia ważnej pracy Johna Rawlsa *Teoria sprawiedliwości*, tak i teraz ukazanie się dwóch nowych ważnych książek – są to *Anarchia, państwo i utopia* Roberta Nozicka oraz *O postępowaniu człowieka* Michaela Oakeshotta – dało mi poczucie, że gdybym był młodszy, musiałbym w pełni je sobie przyswoić przed ukończeniem własnych badań nad problemami tego samego rodzaju, co w nich poruszane. Słusznie lub nie, uznałem ostatecznie, że gdybym podjął próbę gruntownego przemyślenia argumentacji obu tych autorów przed ukończeniem własnej ekspozycji, do publikacji zapewne nigdy by nie doszło. Uważam jednak za swój obowiązek poinformować młodszych czytelników, że nie zdołają w pełni zrozumieć obecnego stanu myśli w tej dziedzinie, jeśli nie zdobędą się na wysiłek, którego podjęcie sam musiałem przełożyć na później, aby ostatecznie sformułować wnioski, do jakich doszedłem przed zapoznaniem się z tymi pracami.

Długi okres dojrzewania niniejszej książki tłumaczy również, że zdążyłem dojść do wniosku, iż z powodów praktycznych powinienem zmienić swoją terminologię w paru kwestiach, na co teraz uczulam czytelnika. Rozwój cybernetyki i związanych z nią dziedzin teorii informacji i systemów w znacznej mierze przekonał mnie, że dla współczesnego czytelnika mogą być łatwiej zrozumiałe pewne wyrażenia różne od tych, jakimi nawykowo się posługiwałem. Choć wciąż podoba mi się termin „porządek spontaniczny” i niekiedy go używam, zgadzam się, że „samowytwarzający się porządek” i „samoorganizujące się

struktury” są niekiedy precyzyjniejsze i bardziej jednoznaczne, toteż często wprowadzam je w miejsce dawniejszego określenia. Podobnie zamiast o „porządku” piszę obecnie niekiedy o „systemie” – zgodnie z dominującym dziś uzusem. Również „informacja” często jest z pewnością terminem lepszym niż, jak to zwykle określałem, „wiedza”, ponieważ wyraźnie odnosi się do znajomości konkretnych faktów, a nie do wiedzy teoretycznej, jak może to sugerować samo słowo „wiedza”. I wreszcie, ponieważ wydaje się, że termin „konstruktywistyczny” wciąż ma dla niektórych pozytywny wydźwięk, jako że kojarzy się z przymiotnikiem „konstruktywny”, uznałem za wskazane, by w celu wyraźnego uwypuklenia negatywnego sensu, w jakim używam tego terminu (co znaczące – pochodzenia rosyjskiego), posłużyć się słowem, jak się obawiam, jeszcze brzydszym, mianowicie „konstruktywicystyczny”. Powinienem może dodać, że żałuję nieco, iż nie miałem odwagi konsekwentnie używać pewnych innych neologizmów, które sugerowałem, takich jak „kosmos”, „*taxis*”, „*thesis*”, „katalaksja” i „demarchia”. O ile jednak mój wykład stracił w ten sposób na precyzji, o tyle zapewne zyskał na zrozumiałości.

Powinienem również przypomnieć jeszcze raz czytelnikowi, że praca niniejsza nigdy nie była zamierzana jako wyczerpująca czy wszechstronna ekspozycja podstawowych zasad, na których mogłoby się opierać społeczeństwo wolnych ludzi, lecz miała zapełniać luki, które odkryłem po opublikowaniu *Konstytucji wolności*, gdzie starałem się powtórzyć na użytek współczesnego czytelnika tradycyjne doktryny klasycznego liberalizmu w formie dostosowanej do dzisiejszych problemów i sposobu myślenia. Z tego też powodu praca niniejsza jest znacznie mniej kompletna, znacznie trudniejsza i bardziej osobista, ale zarazem – jak mam nadzieję – również oryginalniejsza od poprzedniej. Bez wątplenia nie zastępuje tamtej, lecz ją uzupełnia. Czytelnikowi, który nie jest specjalistą, zalecałbym z tego powodu przeczytanie najpierw *Konstytucji wolności*, a dopiero potem przejście do bardziej szczegółowe-

go omówienia czy konkretnego przebadania problemów, jakie starałem się rozwiązywać w niniejszej pracy. Jej głównym zamierzeniem było jednak wyjaśnienie, dlaczego wciąż uważam, że przekonania od dawna już uznawane za przestarzałe zdecydowanie górują nad wszystkimi doktrynami alternatywnymi, które ostatnio cieszą się większym uznaniem szerokich kręgów.

Czytelnik zorientuje się zapewne, że inspiracją dla całej pracy była narastająca obawa co do kierunku, w jakim zmierza porządek polityczny krajów uznawanych za najbardziej rozwinięte. Rosnące przekonanie, które książka niniejsza uzasadnia, że ten groźny bieg spraw w stronę państwa totalitarnego stał się nieuchronny wskutek pewnych głęboko osadzonych wad konstrukcji powszechnie akceptowanego rodzaju rządu „demokratycznego”, zmusiło mnie do przemyślenia urządzeń alternatywnych. Chciałbym tu powtórzyć, że chociaż głęboko wierzę w podstawowe zasady demokracji, jedynej jak dotąd odkrytej przez nas skutecznej metody umożliwiającej pokojową zmianę, i z tego powodu bardzo mnie niepokoi wyraźny wzrost rozczarowania do niej jako pożądaney *metody* rządzenia – do czego znacznie przyczynia się coraz częstsze nadużywanie tego słowa w znaczeniu sugerującym domniemane *cele* rządu – to jestem coraz bardziej przekonany, że zmierzamy w stronę impasu, z którego przywódcy polityczni będą próbowali nas uwolnić za pomocą desperackich środków.

Tom trzeci prowadzi do propozycji zasadniczej zmiany struktury rządu demokratycznego, którą obecnie większość ludzi uzna za całkowicie niepraktyczną; zamierzałem jednak przedstawić coś w rodzaju intelektualnego wyposażenia awaryjnego na czasy – być może nieodległe – kiedy załamanie się obecnych instytucji stanie się niewątpliwe, a propozycja ta, jak mam nadzieję, może pokazać drogę wyjścia. Powinna ona umożliwić nam zachowanie tego, co w demokracji jest naprawdę cenne, a zarazem uwolnić nas od jej wątpliwych własności, które większość ludzi wciąż akceptuje jedynie dlatego,

że uznaje je za konieczne. W innej publikacji\* zarysowałem podobny awaryjny projekt pozbawienia rządu monopolistycznej władzy kontroli nad podażą pieniądza, równie niezbędny, jeśli mamy się uwolnić od koszmaru narastania sił totalitarnych, a obie te propozycje razem wzięte mogą nas uchronić przed zagrażającym nam losem. Będę zadowolony, gdy przekonam kogoś, że jeśli pierwszy eksperyment z wolnością, jaki podjęliśmy w czasach nowożytnych, miałby się zakończyć niepowodzeniem, to nie dlatego, że wolność jest niepraktycznym ideałem, lecz dlatego, że źle ten eksperyment przeprowadziliśmy.

Ufam, że czytelnik wybaczy mi pewną niesystematyczność i zbędne niekiedy powtórzenia w wykładzie pisanym i przepisywanym przez piętnaście lat z przerwą spowodowaną długim okresem gorszego stanu zdrowia. Doskonale zdaję sobie sprawę z tych niedociągnięć, gdybym jednak w wieku moich osiemdziesięciu lat spróbował przerobić całość, zapewne nigdy nie dokończyłbym tego zadania.

„Epilog”, który dodałem do tomu trzeciego przed jego publikacją, wskazuje, że nawet w okresie ograniczonej aktywności moje idee wciąż niepostrzeżenie rozwijały się bardziej, niż zdawałem z tego sobie sprawę, nim przystąpiłem do naszkicowania w pewnym wykładzie publicznym swojego obecnego ujęcia całości poglądów. Jak napisałem w ostatnich słowach niniejszej książki, stało się dla mnie jasne, że „Epilog” powinien się w istocie stać nowym początkiem. Cieszę się, że mogę teraz powiedzieć, iż rzeczywiście się nim okazał, stając się zarysem nowej książki, której pierwszy szkic właśnie ukończyłem.

Powinienem tu powtórzyć kilka podziękowań. Jakieś dziesięć lat temu prof. Edwin McClellan z Uniwersytetu Chicagowskiego jeszcze raz, jak to się już zdarzało przy wcześniejszych okazjach, zadał sobie wielki trud poprawienia mojego wykładu, by stał się on

---

\* *Denationalisation of Money*, wyd. 2, London 1978.



bardziej czytelny niż to, co mógłbym zdziałać o własnych siłach. Jestem mu głęboko wdzięczny za te życzliwe starania, muszę jednak dodać, że ponieważ nawet do pierwszych części szkicu, nad którym pracowałem, wprowadziłem później zmiany, prof. McClellan nie może odpowiadać za żadne ewentualne wady przedstawionej tu wersji. Jestem na dodatek zobowiązany prof. Arthurowi Shenfieldowi z Londynu, który przejrzał ostateczny tekst tomu trzeciego, poprawiając go w wielu punktach zarówno rzeczowych, jak i stylistycznych, oraz pani Charlotte Cubitt, która przygotowując końcową wersję niniejszej książki, też wygładziła jej tekst. Wiele zawdzięczam pani Corneli Crawford z Irvington-on-Hudson w stanie Nowy Jork, która raz jeszcze wykorzystywała swoje sprawdzone umiejętności i wiedzę, sporządzając indeks przedmiotowy z odniesieniami do wszystkich trzech, wciąż z osobna paginowanych tomów.